Lwów, 8. Maja. №54. Rok 1855.

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycíny mód kwartal. 1 Złr.

# NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

## WIENIEC CIERNIOWY.

### Rozdział VIII.

### PIERWSZE WYZNANIE.

(Ciąg dalszy.)

I to mówiąc, to śpiewając znowu, a zawsze z sercem przepełnionem rajską rozkoszą, z myślą bujająca po najcudniejszych przestrzeniach wyobraźni, z natchnieniem na czole, miłością w oku, a poezyą w ustach, przechodził im czas tak szybko, a tak lubo. O! czemuż raz jest się tylko młodym, i raz tylko przebyć można tę świętą, tę uroczystą chwilę pierwszego wyznania, która już nigdy nie da się powtórzyć, nigdy nie da najpoetyczniejszem naśladować słowem!

I znowu siedząc przy sobie, bezmyślnie marzeniom oddani, przebiegali palcami po fortepianie, dobywając akordów szczególnych, z których każdy przemawiał do nich głosem im tylko zrozumiałym, gdy otworzyły się drzwi, i stanęli w nich pani Krystyna z panem szambelanem, patrząc z rozczuleniem na śliczną parę. W tej samej chwili otworzyły się drugie przeciwległe drzwi, ale spojrzenie jakie strzeliło z oczów wchodzącego Wolińskiego, różniło się o wielswoim wyrazem ciemnym i złośliwym. W tej samej chwili spojrzeli wszyscy po sobie, i jakby mroźny chłód powiał po nich.

— A więc nie tylko malarstwa ale i muzyki uczą tu się jak widzę, ozwał się mrukliwym i szyderczym głosem, a oczy swoje wcisnął w młodego Witołda, którego po raz pierwszy widział z bliska.

Konwulsyjnym prawie ruchem stanęła pani Wolińska między mężem a Witołdem, tak że go zupełnie prawie zakryła; i zarazem cichszym ozwała się do niego głosem:

— Oddal się teraz! bądź spokojny! ufaj mnie. I zaraz zwróciła się do męża i przymuszając się do swobodnego na twarzy wyrazu, zagadła żywym głosem:

— Chciałam żeby słyszał Antosię szambelan, który raczył nas odwidzić... Idź już, idź Witołdzie! szeptała znowu do zdziwionego młodzieńca, który też ukłoniwszy się lekko wyszedł towarzyszony wzrokiem pełnym miłości obu kobiet.

Biedna matka unikała zawsze o ile tylko mogła wszelkiego zdybania się Witołda z brygadierem. Było to po raz pierwszy że się tak blisko i tak długo zdybali, chociaż dla padającego już zmroku wieczornego, nie mogli się dobrze oglądnąć. Mimo to obaj doznali szczególnej instynktowej odrazy. Witołd wychodząc uczuł jakby ból nagły, który odezwał się mu na raz w sercu i głowie na dawnej bliznie, i zdało mu się, że zostawia za sobą nieubłaganego wroga swego, który nagle pojawił się na drodze jego życia, i stanął na zawsze między nim i marzonem szczęściem. I brygadier z dziwnym wyrazem patrzał za odchodzącym, nie odpowiadając nawet na słowa żony i ukłony zbliżającego się szambelana.

— Za młody na nauczyciela!.. zagadł znowu brygadier marszcząc czoło. Wiele lat może mieć?

— Dwadzieścia przeszło! przerwała żona skwapliwie.

— Mniemałem że młodszy! A witam pana szambelana dobrodzieja, który podobno należy także do szczególnych opiekunów tego młodzieńca, protegowanego jak słyszałem nadzwyczaj w moim domu.

— Pan szambelan uważa go jak syna swego, przerwała znowy matka.

— W rzeczy samej lubię bardzo tego chłopca pełnego talentów, nauki i prawości.

— Cud wychowania klasztornego! na organistę zapewne dobry! mówił dalej brygadier szydzącym i złośliwym głosem. Żałuję żem się nie przypatrzył temu nowemu cudowi, ale wymknął się nam tak szybko...

— To jest godzina, o której zwykle wraca.

— Uważam że przybycie moje przerwało państwu miłą i wesołą zabawę; wszak i pan szambelan zabiera się już do pożegnania.

Jakoż w rzeczy samej szambelan, który brygadiera nigdy bardzo nie lubił, po kilku jeszcze słowach pożegnał się i wyszedł.

— Życzę sobie z panią pomówić sam na sam! ozwał się pan Woliński suchym głosem.

— Antosiu! pojdź do siebie!

— Panna Antonina, mogłaby już poprzestać tych nauk malarskich i śpiewnych; jest w tym wieku, w którym można zaprzestać wszelkich lekcyi. Czas już pomyśleć o ważniejszej przyszłości.

Antosia najszczęśliwsza z pozwolenia matczynego, wyszła co prędzej z pokoju, i także uczuła, jak bez przyczyny ścisnęło się jej serce bolem przeczuciowym. Spojr

ojcowskie i jego zimne a szydercze słowa przestraszyły ją.

— Dziwię się bardzo pani! mówił dalej zwrócony do żony, że będąc zawsze tak surową w zachowaniu przyzwoitości, zezwalasz na taki poufały stosunek jakiegoś podrzutka jak mi mówiono, z domem naszym, mianowicie z panną już szesnastoletnią.

— Ona dziecko prawie jeszcze.

— Z wielkiem śpiewa uczuciem, jak na dziecko.. Lecz jak się dotąd niemieszałem w sposób jakim pani urządziłaś sobie życie, tak i na dal mieszać niechciałbym się. I aby dłużej nie nudzić panią moją przykrą dla pani obecnością... powiem w krótkości...

— Z kądże ta myśl! przerwała mu żona, spuszczając oczy w dół.

— Nie grajmy niepotrzebnych komedyi moja pani. Że mnie pani nie kochasz, i nie kochałaś nigdy, rzecz to jest niezawodna, i ja też w czułości się z panią wdawać nie myślę. Znamy siebie, znamy naszą przeszłość; możemy być szczeremi. Aby więc w krótkości powiedzieć po co tu przyszedłem, powiem pani po prostu, że jesteśmy zrujnowani...

— Zrujnowani! my? zawołała pani Wolińska więcej zdziwiona, niżeli przestraszona.

— Powinienbym był raczej powiedzieć, że ja jestem zrujnowany. Klucz mój wołyński przymuszony zostałem przedać, a i nasze dobra galicyjskie obciążone są mnogiemi długami. Prócz tego mam wiele innych długów, które mnie dokuczają.

— I jakże do tego przyszło?

— Najnaturalniej w świecie! przez grę!

— Przez grę! niewiedziałam...

— Że jestem namiętnie zamiłowany w grze, i to w grze jak najwięcej hazardownej, jak najzaciętszej. Pani się temu dziwić nie powinnaś, i owszem winnaś mieć pobłażanie dla wszelkiej namiętności... która wiele tłumaczy... I mnie wolno mieć jakąś namiętność.

— Mamże te słowa brać do siebie?

— Jak się podoba! wszak dosyć cofnąć się w przeszłość.. Jednem słowem jestem zadłużony, i niemam ochoty strzelać sobie w łeb...

— Co za myśl!

— Dzika, ale byłaby nie zła! nieprawdaż? lecz ja nie chcę jeszcze umierać, ja chcę spłacić długi, i wyjechać zupełnie za granicę. Pani byłabyś zupełnie wolną i swobodną

— A więc przedaj dobra galicyjskie!

— Nie wystarczą!

— Boże! miałożby tak daleko zajść!

— Jak pani widzisz!

— Cóż ja nato poradzić mogę... mam brylanty...

— Dziękuję za nie, niechcę panią ogałacać z miłych ...tek szczęśliwie i wesoło przepędzonej młodości. ... gorzko i długie lata opłakanej. ...acz i żal niewczesny, nie wiele pomagają. Lecz ... do rzeczy... pani sobię przypomni zapewne, że gdyśmy się pobrać mieli... poprzedził zapis przez pewną osobę zrobiony tego majątku w którym mieszkamy.... To był warunek mój!

— Warunek? przerwała pani Wolińska, i rumieniec gniewu i oburzenia wystąpił jej na twarz.

— A jużciż warunek! Spodziewam się żeś pani nie miała mnie za takiego serdecznego głupca, bym się żenił bez rękojmi spokojnego i zamożnego życia.. z panią, która byłaś bardzo jeszcze piękną... ale...

— Kończmy tę rozmowę, która zaczyna przekraczać wszelkie granice... ja mniemałam, że jeżeli nasz związek nie gruntował się na silnem pana do mnie przywiązaniu, to wypływał przynajmniej z uczuć przyjaźni i wdzięczności jakie zdawałeś się mieć...

— Dlatego, który przez położenie swoje przymusił mię, bym odddał rękę tej, która była jego...

— Kończmy mój panie!

— A więc kończmy. Prócz Słobódki zapisanej pani i mnie, złożona była jeszcze znaczna bardzo kwota.. czy pamiętasz pani wiele...

— To jest... wiem..

— Trzydzieści tysięcy czerwonych złotych na banku londyńskim, oddane pod dyspozycyę pani...

— To nie dla mnie było przeznaczone...

— Ale dla syna, któregoś pani w niespełna pięć miesięcy po naszem pobraniu się szczęśliwie powiła.

— Cóż to więc ma do rzeczy...

— I bardzo ma do rzeczy... Ten syn nieżyje...

— Zdaje się że nie żyje...

— Ja wiem że nie żyje!

— Wiem! zawołała głosem przeraźliwym...

— A pani czy wiesz że żyje? syczącym jakby gadziny zapytał głosem..

— Ja nie wiem, nie...

— W razie śmierci na tego syna, pani stawałaś się dziedziczką tego kapitału...

— Wszakże dochody i z dóbr i z kapitału idą na życie nasze.

— Słusznie bardzo! lecz to dziś nie wystarcza... Kapitał ten jest mi potrzebny na opłacenie moich długów, i tych co ciężą na dobrach galicyjskich. Spłaciwszy je, mając po połowie dochodów czystych, wystarczy nam; pani tu w kraju, a mnie za granicą.

— Najchętniej! odpowiedziała po chwili milczenia, przez czas którego brygadier wciskał w nią swój zimny przenikliwy i szyderczy wzrok. Najchętniej wszelkie zrobiłabym poświęcenie... ale co do pieniędzy tego dziecka...

— Które już nie żyje!

— Gdyby tak nawet, postanowiłam kapitał obrócić na dobroczynne jakie uczynki.

— Najwięcej dobroczynną byłoby rzeczą, opłacić długi męża i ratować go od hańby i samobójstwa...

— Czyliż to co mamy niewystarczy nam.

— Nie moja pani.... i przytem proszę jeszcze jedno posłuchać. Podobało się pani przyjąć córkę jakiejś tam szlachcianki za córkę. Ja nic nie miałem naprzeciw temu, i dziś jeszcze na to zezwalam, pod warunkiem wszakże, aby ta czułość pani odbywała się bez ofiary majątkowej. I właśnie nadarza się teraz sposobność po temu. Pan Artur Wenda rozkochał się w wdziękach panny Antoniny, i prosił mnie o jej rękę... wszak pani wiesz o tem?..

— Oświadczał się i przedemną!.

— Cóż pani na to?...

— Odesłałam go do Antosi, która mu odmówiła.

— A ja przeciwnie, przyjąłem jego oświadczyny, i Antosia będzie jego żoną, bo on ją bierze bez posagu... Czy pani mnie rozumisz?.

— Ależ ona go nienawidzi!

— To już to pani jej najlepiej wyperswadujesz, że można iść za mąż nie kochając przyszłego, a nawetkochając innego....

— Jabym miała przyłożyć się do jej nieszczęścia...

— Jak się pani podoba!.. Aby dłużej czasu nie tracić... rozmyśl się pani przez dni kilka nad tem co powiedziałem..! kapitał znajomy pani mnie oddasz, a Antosia będzie żoną Wendy... potem podzielimy się sądownie dochodami całego majątku.. i będziemy sobie żyć w zgodzie bo daleko od siebie...

— Nigdy nie zezwolę na to.

— Inaczej, przygotuj się pani do tego, że panna Antonina i cały świat się dowie, że ona nie jest córką pani.. co zapewne obojgu milem nie będzie, tem więcej, że masz pani dosyć krewnych bliskich, którzy zapewne radować się będę jej bezdzietnością. I nareszcie zaręczam pani, że potrafię mieszkając razem, przypomnieć się pani tak często, i w taki sposób, że sama przekliniesz tę chwilę w której mnie odmówiłaś.... Proszę się nad tem dobrze zastanowić, i to wziąć na uwagę, że po dopełnionych warunkach pożegnam panią na zawsze, a wówczas będziecie sobie obydwie mogły sprowadzać tego tak wielce ukochanego malarza, i dzielić się podług upodobania nim i jego przywiązaniem.

— Takie okropne posądzenie!..

— Moja pani! żeniąc się z panią byłem na wszystko przygotowany!..

— Boże! słuszna to kara spada na grzesznicę! zawołała z rozpaczliwym zapałem.

— Najlepiej jest grzeszyć, a potem czule do boga się odzywać. Jest to zwykły obyczaj kobiecy!.. Powtarzam pani mojej, że za dni kilka, wreszcie kilkanaście przyjdę po ostateczną odpowiedź, i radzę pani, po przyjacielsku radzę, abyś się pani niesprzeciwiała jeżeli chesz mieć spokój... Mam zaszczyt pożegnać panią brygadierową.

Uśmiechnął się raz jeszcze pan Woliński zimno i szyderczo, i wyszedł z pokoju.

— Co tu robić! mówiła do siebie biedna matka załamując rozpaczliwie ręce.

— Mamże mu powiedzieć że to mój syn... oddać wszystko... i z nim uciekać!.. nie ja tego mu nie powiem!.. krzyknęła mimowolnie, i niewiedzieé dla czego, dreszcz przestrachu przebiegł jej członki.

— Co robić! co robić?.. pytała sama siebie płacząc biedna matka.

I postanowiła poradzić się szambelana, chociaż nie wiele spodziewała się po nim, którego znała jako człowieka miękkiego usposobienia.

Lecz tonący brzytwy się chwyta. Darmo pytała ją córka widząc łzy w oczach:

— Co tobie mamo najdroższa?...

—Nic to! nic!... bądź tylko cierpliwa, a wszystko przemieni się na dobre...

Witołdowi dała znać aby przez dni kilka do Słobódki nieprzyjeżdżał, ale że za to przyjadą obydwie na pewien dzień do szambelana. I zjechali się u niego z radością niepospolitą. Pani Wolińska patrząc na czułą i zakochaną parę, miała w oczach łzy rozrzewnienia, na ustach ciągłe dla nich błogosławieństwo, a w sercu ciągłą a gorącą do Boga modlitwę.

Rozmowa jej z szambelanem długo trwała, a kochankowie siedzieli przez ten czas przy sobie oko w oko, ręka w ręce i zapomniawszy o wszystkiem byli szczęśliwi bezgranicznem marzeniem w daleką przyszłość sięgającem.

Pierwsza miłość dwojga młodych niewinnych istot, to raj na ziemi, oddalony od wszelkich życia prób i dolegliwości. Szczęśliwi, którzy mogą dłużej pozostać w tym raju, zapomnieni od zimnego świata, szczęśliwa każda taka chwila, chociby była jedna tylko, pierwsza i ostatnia. W niej się mieści tyle szczęścia, że wystarczy na pamiątkę całemu jałowemu życiu. —

## Rozdział IX.

### ZJAZD OBYWATELSKI.

Przenieśmy się teraz do pana chorążego Wendy, mieszkającego w majątku swoim w Hładyszczach. Dom chorążego Wendy był prawdziwie litewskim dworem, ogromny, rozległy, z kilkunastu różnego czasu dobudowań złożony i drewniany cały, prócz przystawionego doń murowanego lamusu, który zwano skarbcem, i który wyglądał jak wieża, stał jakby w lesie, bo był ocieniony przedwiecznemi lipami, które czterma alejami schodziły się do czterech bram wiodących do ogromnego dziedzińca. Za tym dworem ciągnął się sad ogromny, zawieszony nad urwiskiem w którego przepaścistem łonie ledwie dostrzeżony mruczał strumyk jakiś. Za urwiskiem ciągnęła się wieś sama czyli raczej

miasteczko, miarkując po czterech karczmach na środku stojących, z rodzajem ratusza o spiczastej czapce na środku, a dalej na około ogromne sosnowe bory stanowiły tło prawdziwie polskiego obrazu. Dwór z wierzchu wyglądał nie bardzo pysznie, prócz chyba dwóch ogromnych jakby jadalne sale wielkich ganków drewnianych, które strojne w drewniane kolumny, a symetrycznie na dwóch końcach połamanego nieco w środku frontu postawione, nadawały całemu domostwu poważniejszą nieco i wspanialszą postawę. Ale za to środek domu był ustrojony z przepychem staroświeckim niepospolitym. Pokoje wszystkie, a było ich mnóstwo, były wielkie obszerne, po części obrazami, po części makatami wielkiej ceny, lub zbiorem najpyszniejszym zbroi i oręźów poobwieszane, przypominały dawne komnaty starych powalonych już zamków. Stary chorąży miał w znacznych dobrach wystawniejsze dwory, ale on nad wszystkie inne przenosił drewniany dom w Hładyszczach, bo tam się rodził, tam dziecinny wiek przepędził, tam nareszcie najlepsze miał knieje, a był on już z rodu swojego wielkim i zawołanym myśliwym. Pomału zatem dla wygody własnej, a więcej jeszcze dla gościnnego przyjęcia łaskawie przybywających gości, poprzybudowywał te wszystkie dołączące oficyny, i powoli z innych dworów swoich pościągał najkosztowniejsze sprzęty i pamiątki rodzinne, których jako potomek znakomitego rodu miał bardzo wiele. Na zachowanie droższych sprzętów wymurował ten lamus, a na jego wierzchu urządził dwie obszerne izby, które dla siebie samego na stałe pomieszkanie przeznaczył. Tam mieszkał, tam nawet przyjmował, gdy nie wielka była liczba gości, i tam mu było najmilej, bo z okien wysokiego budynku, mógł patrzeć na całą okolicę, dostrzedz ulubione swe bory, a mianowicie mógł nieraz spoglądać na piękny murowany kościółek, na pagórku stojący wieńcem sosen otoczony, i na wielki krzyż złocisty, który z pomiędzy drzew połyskiwał. Kościółek był jego własnej fundacyi, a ów krzyż, to był nadgrobek zmarłej matki jego kasztelanowej Wendowej, do której dawniej Hładyszcze należały. Nieraz w smutnych godzinach, a miał ich stary Wenda niemało w nowym tym świecie, jaki go otaczał, stawał siwy i łysy starzec w oknie, i zwrócony do matczynej mogiły, modlił się za jej duszę, a może i w głębi duszy westchnął za spokojnem z nią połączeniem, a zwrócony do kościółka, błagał przedwiecznego, by ciężkie przeminęły czasy, i choćby już nie dla niego, ale dla młodych pokoleń, wróciły one czasy, jakie sam zapamiętał jeszcze. Bo stary choć był dumny swym rodem, i za nic by niebył chciał urodzić się kmiotkiem lub co gorzej jeszcze mieszczuchem, niemniej był dumny narodem do którego należał; jeżeli lubował się w rodzinnych pamiątkach, to głównie dla tego, że te pamiątki były oraz kartami dziejów ojczystych. Boga wszakże i ojczyznę przenosił nad dumę rodową, którą byłby w stanie poświęcić, dla świętej wiary, lub dla sprawy publicznej. (C. d. n.)

---

# PRZYPOMNIENIE.

Deszczyk w okno dzwoni
Mgłą się okrył świat —
Łza mi oko słoni,
Jak za młodych łat.

Gdy się z nią żegnałem
Po ostatni raz,
Takim deszczem małym
Siał wiośniany czas!

Deszczyk w okno dzwoni,
Świat okryła mgła —
Łza mi oko słoni,
Serce z bolu drga:

W mej wiosny rozwoju
Taki deszczyk siał,
Kiedy pierwszy w boju
Utkwił we mnie strzał!..

Jan Bar.....

---

# Abdallah.

Wszystkie gazety pisały o smutnej i okropnej scenie, jaka się odbyła w Sierpniu r. 1854 na jednej z wysepek na Dunaju pod Giurgewem. Z Baszy-bozuków, których poprzednio przyzwyczajono do rozbojów i nieporządku, chciano zrobić żołnierzy regularnych, i w tym celu kazano im zsiąść z koni i złożyć broń, a zatem to jedno co mieli najdroższego; a gdy się wahali to uczynić, otoczono ich i zamordowano większą część. Wówczas rozeszła się ta wieść że między innemi zginął także Abdallah, naczelnik z Kurdystanu, ta najromantyczniejsza postać, z całego romantycznego tłumu, jaki się zebrał na wezwanie Padyszacha ze wschodu i południa prawej bronić wiary. Był on pomiędzy swemi najpiękniejszy mężczyzna, na najdzielniejszym jeździł koniu, najwytworniejszy miał strój, i najtęgszą broń, a przytem miał niezaprzeczenie, najlepszą z całego pokolenia głowę i najpoczciwsze serce. Był on ulubieńcem bawiących wówczas w Szumli Europejczyków, dla tego mianowicie że chętnie z niemi obcował, słuchał ich mówiących z natężoną uwagą, jakby po ruchu ust i gestach chciał zrozumieć słowa niezrozumiałego dla siebie języka, a nawet rozmawiał skoro był jaki tłumacz pod ręką. W takich razach podziwiali wszyscy zdrowe pojęcia jego, godne naj-

wykształceńszego człowieka, w których przebijała się wszakże wschodnia wyobraźnia. Razu jednego, gdy była właśnie mowa o wojnie, rzekł im:

— Allah rzuca narodami z jednego kraju w drugi, jak przewiewacz rzucający pszenicę na wiatr. Na samem czele najlepsze padają ziarna, plewę wiatr unosi, a zboże wyczyszcza się; to jest wojna.

Albo innego razu gdy była mowa o różnicy religij:

— Wszystkie religie, ozwał się, są jedną i tą samą religią. Jak roślina przesadzana z miejsca na miejsce, zmienia się ona wedle różnicy ziemi i słońca.

To też gdy się wieść o śmierci jego rozeszła, powszechnie go żałowali europejscy przyjaciele jego. Anglik jeden zawołał wówczas:

— Wschód stracił swego największego filozofa!

A pani T... francuzka była tanecznicą z towarzystwa skoczków paryzkich, która w stroju męzkim przy głównej kwaterze odbywała służbę porucznika, chętnie by go była i rzewnie nawet opłakiwała jako najpiękniejszego mężczyznę wschodu i zachodu, gdyby nie przytomność ostatniego bo dwudniowego kochanka. Nie mogła się przecie wstrzymać zupełnie i wzdychając, elegijne uczucia swoje wyrzuciła takiem charakterystycznem wyrażeniem: Pauvre chat...

Nekrolog ten wszakże był zbyteczny; wiadomość bowiem o śmierci jego była fałszywa. Abdallah umknął szczęśliwie z tej okropnej rzezi. Chociaż raniony w czolo i prawe ramie, z lancą w jednej ręce, a z pistoletem w drugiej przerznął się przez szeregi otaczających go Turków, i uciekł przed pogonią dzięki lekkim nogom bojowego konia swego. Jak strzała przeleciał przez most, i znikł w labiryncie domów w Rusczuk przed okiem goniących. Wichrem gonił dalej siejąc postrach swoją postacią bladą, w białym płaszczu, po którym sączyły się dwie czerwone strugi krwi, która mu z ran po twarzy i czarnej płynęła brodzie. Niewiedząc którędy, instynktem tylko wiedziony gonił naprzód, przez całą noc, aż o wschodzie słońca zatrzymał się w obozie Baszybozuków pod Szumlą.

Na widok znanego im dobrze Abdalli zerwali się, i otoczywszy go wypytywali ciekawie. Abdallah rozpowiadał im z konia co się stalo w Giurgewie. Krzyk powstał ogromny; wszyscy rzucali przekleństwa na Turków, na Omera Paszę i na samego sultana. Lecz gdy Abdallah wezwał ich, by siedli na koń, i z bronią w ręku szli zanim w celu pomszczenia poległych braci, głuche nastało milczenie, i jeden po drugim wynieśli się po cichu do swoich namiotów.

— Nic my nie poradzimy naprzeciw tej wojny nowego rodzaju; mruczeli odchodząc. Już to tak zapisane w księdze przeznaczenia.

— Psy! synowie psów! krzyknął Abdallah i zwrócił konia swego. Przy pierwszej studni zatrzymał się, i po raz pierwszy przypomniał sobie rany swoje. Obmył spiekłą krew, rozdarł szal bagdacki za turban służący, i obwiązał nim obie rany swoje, a nakarmiwszy konia, i przysposobiwszy sobie nieco do żywności, puścił się w dalszą podróż ku bałkańskim przesmykom. Choć go rany piekły mocno, niewzruszony bolem, gonił przez góry i doliny, lasy i skały coraz wyżej i wyżej. Dnie całe mijały; Abdallah jechał dalej, a choć nieraz po leśnych parowach zdybywał znajome sobie postacie Baszybozuków, którzy uciekłszy z obozu rozbójnicze prowadzili życie, nie wzywał ich pomocy, bo pogardzał niemi, i z doświadczenia przekonał się, że nadaremnie by do nich przemawiał. A nawet odmawiał dumnie, gdy mu który z nich ofiarował chleb lub wodę. Tak zmęczony i osłabły stanął nareszcie u stóp Bałkanu, w tej zaczarowanej dolinie różowej, piękniejszej w lecie od dolin kaszemirskich. Bo tam rosną i kwitną tysiące róż najpiękniejszych, których wonna krew przerabia się na ów na wschodzie tak znany olejek różany. I aby prawdopodobniejszą była cudowna bajeczka o miłości słowika do królowej kwiatów, niezliczone mnóstwo tych leśnych śpiewaków zapełnia okoliczne krzaki rozwodząc swe harmonijne pienia. Lecz gdy Abdallah przybył w te strony, cicho już było i głucho; słowiki umilkły, a woń i życie róż dawno już było wczarowane w wonny płyn różany. Mało mógł Abdallah zważać na otaczającą go przyrodę, bo coraz czuł się słabszym, i ostatnie dobywając siły zwrócił konia w stronę wiejskiej zagrody, którą mdlejącym zajrzał okiem.

Gdy przyszedł do przytomności, ujrzał się na łożu z miękich skór baranich, pod opieką starego Franka i nadobnej dziewicy. Był to stary Polak, wygnaniec nieszczęśliwy z r. 1830; ujrzawszy Abdallah leżącego przy progu chaty swojej, podniósł go i gościnnie przyjął do domu swego. Rany Abdalli były starannie obwiązane, i chociaż go piekły niepospolicie, paliła gorączka, lekko i dobrze mu było pod troskliwym dozorem starego Sarmaty o siwych wąsach i pięknej córki jego o ciemnych oczach.

Długie mijały dnie, a przez te dnie, naczelnik Kurdów rozkochał się w pięknej Polce. Nie trudna to rzecz rozkochać się w Polce mianowicie, tem to łatwiej przyszło synowi puszcz gorących. Nie wdając się w długie romanse zapytał jej krótko, czy chce z nim wyruszyć do Kurdystanu, a ojca jej pytał o cenę, chociaż w jego kraju nie jest obyczajem kupować ale gwałtem zdobywać żony. Natalia uśmiechała się tylko, bo nie miała wcale ochoty z dwiema lub trzema innemi żonami dzielić się miłością męża, i to tem mniej, że blady, przystojny, czarnooki Abdallah z orlim nosem podobał się jej wcale. Nowe wszakże zdarzenie zwiększyło wkrótce te jej uczucia.

Chociaż leżał jeszcze z obwiązaną głową i ręką, zerwał się jednego poranka z łoża swego, na odgłos strzałów, które padły w bliskości domu. Jako prawdziwy lew Kurdystanu skoczył, porwał jatagan i długą swą rusznicę i wybiegł z domu. Na dziedzińcu przy niskim murze stał sługa domu,

Bulgar rodem, drżący cały, i ledwie mógł podnieść strzelbę swoją, gdy tymczasem stary Polak strzał po strzale puszczał po wyż muru otaczającego zagrodę. I z tamtąd świstały kule nieprzyjacielskie tuż koło ucha starego wiarusa. Abdallah wnet zmiarkował że to napad rozbójniczy, i poznał nawet Baszybozuków w zbójcach; niektórzy z nich drapali się już na mur, gdy Abdallah z szybkością łyskawicy skoczył ku nim, i jednego po drugim walił jataganem swoim; a gdy najbliżsi pospadali, porwał za strzelbę i długo celował; padł strzał a za nim i jeden jeździec z konia. Dziki krzyk powstał pomiędzy zbójcami; Abdallah odpowiedział im przekleństwami w swoim języku miotanemi. Niektórzy z napaśników musieli zapewne poznać Abdallę, bo się nagle zatrzymali, i potem na rączych umknęli koniach.

— Byłbym uległ przemocy!.. ozwał się Polak ściskając rękę Abdalli: tyś nas wyratował!.

— Jak ty mnie! odrzekł Abdallah.

Zdarzenie to wzmogło przyjaźń jaka łączyła już mieszkańców samotnej zagrody; a gdy Abdallah przyszedłszy już do zdrowia, chciał wyruszć dalej i namówił gospodarza by mu towarzyszył do Stambułu. Tem łatwiej mu to przyszło, że i tak stary polak, który ten dworek trzymał przez dzierzawę, postanowił go przed zimą opuścić, aby uniknąć trzykroć już powtarzanych rozbójniczych napadów.

Ostatnich dni Października przybyli wszystko troje do Stambułu. Lecz Abdallah nie mógł przenieść na sobie, aby ich tak łatwo porzucił. Przez cały czas podróży i pobytu w Stambule nie przestawał szturmować do serca Natalii. Błagał i groził, krzyczał i płakał przed nią jakby drugi Roland szalony, i ona płakała i zawodziła wraz z nim, ale pobożnej dziewczynie zdało się być obowiązkiem odmawiać mu.

Razu jednego zdybał Abdallah na ulicy jakiegoś mężczyznę w ciemnym stroju, który mu się pokłonił z uszanowaniem; wpatrywszy się w niego,, poznał Nestoriańskiego księdza ze swego rodzinnego nad Eufratem kraju. Zapytany co porabia w Stambule, odpowiedział ksiądz z niejakiem pomieszaniem. Lecz Abdalah nie od dzisiaj już wiedział, w jakich sprawach i przy jakich sposobnościach Nestorianie i Jessydy, dwie prześladowane nad Eufratem sekty wysyłają posłów do Stambułu. Po kilku zatem pytaniach posłannictwo Chawala, jak się nazywał ów ksiądz, przestało mu bydź zagadką. Nestoryanie zasłyszeli że pomyślny dzień zawitał dla Chrześcian, których Francuzi i Anglicy biorą pod opiekę swoją, niechcąc zatem być zapomnianemi w swoim dalekim zakątku, udali się do Stambułu, celem wyjednania mianowicie opieki naprzeciw rabującym Kurdom.

W głowie Abdalli budzi się myśl nowa.

— Chawalu! odzywa się do księdza: ramię Franków nie dosiągnie nas w naszych górach, a że Turek niemoże nam praw przepisywać, dowiedliśmy już nieraz. Chcecie zupełnego bezpieczeństwa; tylko Kurdowie mogą je dać wam. Zrób o co cię prosić będę, a przysięgam ci na potężnego Allah i jego raj cudowny, będziecie mogli żyć spokojnie między nami.

Chawal słucha go z radością, i przyrzeka zrobić wszystko co będzie w jego mocy. Abdallah przekonany, że Natalię wstrzymują tylko jej religijne uczucia, wyznaje przed księdzem cały swój stosunek, i namawia go, by poszedł do chrześciańskiej dziewicy i przedstawił jej, jako ona może stać się aniołem opiekuńczym wszystkich chrześcian nad Eufratem, i może ściągnąć na siebie ich i Boga samego błogosławieństwo, jako znowu z drugiej strony jej wahanie się będzie istnym dowodem odrazy jaką mają chrześcianie do Turków, odrazy za którą jej bracia nad Eufratem odpokutować będą musieli.

Chawal tak zrobił jak mu powiedziano, a może też nie było to tak trudno namówić piękną Polkę. Jednem słowem Natalia przystała na wszystko; musiał tylko Abdallah przysiądz, że drugiej żony nie wezmie do namiotu swego i że jako naczelnik użyje wszelkiej władzy swojej w udzielaniu opieki nad chrześcianami mieszkającemi w jego kraju.

Z końcem Listopada wyruszyła karawana złożona z polaka, jego córki, Abdalli, Chawala i licznej służby. Przebyli Bosfor, i znikli w głębi Azyi. Dopiero w Marcu tego roku doszła o nich wieść do Stambułu. Stary Polak pisał do jednego z ziomków swoich list zawierający niektóre szczegóły o powstaniu Kurdów. Z tego to listu dowiedzieliśmy się także, że Natalia zadowolona jest z położenia swego, i że Abdallah znalazłszy w ojczyznie skłonniejsze umysły niż w Szumli, był jednym z głównych przewodników powstania Kurdów, i jest teraz na czele kilku zbrojnych oddziałów. Omer Pasza nie przewidywał zapewne skutków jakie się wywiną z jego postępku w Giurgewie, i że nasienie rzucone na Dunajskiej wyspie takim zejdzie plonem nad Eufratem.

---

## Władysław Syrokomla.

(Dokończenie.)

»Doniosę ci kilka szczegółów osobistych; ta wymiana poufnych zeznań bogdajby została węgielnym kamieniem naszej zażyłości. Urodziłem się w tym samym roku co ty, z tą tylko różnicą, że kiedy 1823 roku hałasowałeś już w kolebce i pasowałeś się z powijakiem, którym cię skrępowała mamka ukraińska (zwolenniczka zapewne starej rutyny krępowania), mnie jeszcze w krainie duchów Kochanowski z Janickim błogosławili na swojego przyszłego tłumacza. Krótko mówiąc, urodziłem się 1823. roku 17. września, na błotnistem Polesiu we wsi Smołkowie. Uczyłem się czytać na złotym ołtarzyku, a w szóstym roku już na szmaty podarłem dziesięć tomów dzieł Krasickiego, czytając je gorliwie, tak gorliwie, że już wtedy zapamiętałem ważniejsze dyalogi Lucyana i żywoty ważniejszych bohatyrów Plutarcha, co mi potem wielką było pomocą w nauczeniu się starożytnej historyi. Od dziecka czytałem z ochotą, czytałem samopas, czytałem w chwilach lekcyi, w chwilach rozrywki i tak bez porządku ale z oddaniem się, przywykłem kształcić sam siebie.

»Pierwsza linja bakalarska spoczęła na mojej łapie roku pańskiego 1833. i to za nierówne ciągnienie pękatego żywota litery B, którą (literę) wnet po gwałtownem wstrząsnieniu mej ręki pan Bóg rozwiązał i porodziła ogromnego żyda. Dzięki tej metodzie uczenia pisać, nigdy nie nauczyłem się stawiać równych liter *) i porządnych linij, jak tego masz wyraźne dowody na obecnem pisaniu.

»Nauki początkowe do klassy V., którą skończyłem 1837 r., odbyłem u XX. Dominikanów w Nieświeżu, którzy młody umysł mój tak dobrze napoili bojaźnią Bożą, że i do dziś tkwi ona w sercu; nauka pobierana w zakładzie zakonników, pod względem moralnym wyrobiła we mnie skrupulatność, która w życiu codziennem aż nadto jest potrzebną. Do 1839. r. uczyłem się z obowiązku i oto rys mojej głowy, wedle szkolnych poświadczeń: Religia, języki: francuzki, łaciński, nauki przyrodzone, historya, geografia, statystyka, *bardzo dobrze;* języki: polski, i niemiecki (którego ze szkół nic prawie nie wyniosłem) *dobrze;* matematyka, z całym ogonem pomocniczych nauk, *miernie.* Na końcu moich patentów na mądrość było: *Zdatność wielka, pilność mała,* nie iżbym doprawdy był hultajem, bo pracowałem wciąż nad ukształceniem mózgowni, ale pracowałem swobodnie i nie według tych reguł, jakiemi łeb mój okować chciano.»

Taki to jest ogólny rys kształcenia się ludzi, mających zająć umysłowie wyższe miejsce.

«Przy charakterze powolnym, mówi dalej Syrokomla, rozważnym nieśmiałym, zachowałem niepodległość umysłu i niewiarę we wszelką powagę. Mniej więcej ochoczo, mniej więcej szczęśliwie uczyłem się, i dotąd uczę wszystkiego: ale o wszystkiem dopóty nie mam żadnego zdania dopóki nie wyrobię sobie własnego, które, ma się rozumieć, zostawiam sobie nieograniczone prawo modyfikować w miarę tego, jak się przedmiot zgłębia. Oto jest klucz do kontrastów mojego charakteru, może upartego i słabego zarazem. Tyle o głowie i charakterze; co do serca, Bóg mię stworzył z sercem miękkiem i nie chwaląc się, mówię, że nie słowy, ale czynem samym cieszę się i boleję radościami i klęskami ludzkości. Po prawdzie kochałem i kocham ludzi; co się zaś tyczy owej połowy rodzaju ludzkiego, którą zgodzono się nazywać płcią słabą i piękną (chociaż w tym względzie różne bywają wyjątki), to i mówić nie trzeba, że nie byłem obojętny na jej powaby. Kochałem i zdolny jestem kochać szczerze ową płeć piękną, ale tylko pod warunkiem prawdziwego piękna, nietylko ciała (a moja estetyka diable jest wymyślna), ale i piękna duszy, bez którego, mojem zdaniem, nie masz wcale piękności zewnętrznej. Co do mojej historyi uczuciowej, paroksyzm pierwszej miłości mojej odbyłem w 1839 r.; dalsze w rozmaitych epokach życia, w fazach rzewnych, śmiesznych i t. d., mnie napastowały, ale nigdy w sposob, ktoregobym się rumienił. Czy byłem szczęśliwy w miłościach? Niewiele, bo mi nie dano ani urody uderzającej, ani blasku wymowy, ani pieniędzy; ale jeśli to prawda (a ja w to wierzę), że samą potęgą uczucia prawdziwego można zhołdować serce czyste, toć nie byłem bez wzajemności.

»Od 1840 do 1841 pracowałem jako kancelista; w tej epoce począłem stale czytywać książki polskie, francuskie i naszych starych poetów i kronikarzy łacińskich, jak również oznajamiać się systematycznie z biegiem tych literatur. Była to jak pamiętasz, chwila dyktatury Tygodnika a należy mu oddać sprawiedliwość, że w tamte chwile był pełen ruchu zdolnego zelektryzować do wejścia w szranki. Nic jednak nie pisałem, bo wtedy jak i teraz lubiłem więcej życie objawiające się czynem niż piórem. Życie koleżańskie, uczuciowe, obowiązkowe, pożerało mię, wszelakoż wtedy pisałem wierszydła z okoliczności — *Wybryki dobrego,* młodego *humoru.* W roku 1844 ożeniłem się i stale osiadłem na wsi. Pierwszym moim drukowanym utworem był *Pocztylijon* (Athen. 1844), Od 1846 r. wszedłem stale w koło literackie... Dotąd napisałem, przygotowałem do druku, lub przetłumaczyłem do dziesięciu tomów, a Bóg mię wynagrodził trojgiem dziatwy i kilkaset rublami honoraryi księgarskiej.»

To miłe, wesołe, jasne, niewinne, prawdziwe, *młode* sprawozdanie, każdemu musi się podobać swoją serdeczną prostotą. Nosi ono na sobie cechę, charakteryzującą poezye Syrokomli: uczucie wyrażające duszę świeżą, młodą, nie sentymentalną, nie płaksiwą, a pogodną, czystą jak jezioro Świtezi, w którem się przeglądają stare lasy Litwy; czasami rzewny, ale to wtedy tylko kiedy mu serce się roztkliwi; zwykle wesół a zawsze rzetelny, wierny naturze. W tej biografii, acz maluczkiej, już widzimy że Syrokomla lubi sięgać pamięcią w przeszłość i ztamtąd wyprowadzać obrazki sielskie, chwile przeżyte, doświadczone na sobie uczucia i figury znajome, ukochane. Gawęda o moim starym domku jest żywym obrazkiem domowym miłego gawędziarza naszego. Jak w *Dęborogu* szkoła u Dominikanów, cela przeora, wychowanie u Plebana, noclegi z końmi w lesie, lekcye łaciny na kopie świeżo zżętego zboża, to wszystko rzetelne, a piękne; pływa tu jakiś urok chwil ubiegłej młodości. *Chodyka,* poemat widocznie natchniony szmerem tajemniczym borów litewskich, kiedy zabłąkawszy się w nich o zachodzie słońca wiosennego, oczarowany marzysz o wiekach ascetów i anachoretów Tebaidy, kiedy w samotności raz modlitwa lała się z serca ku Panu, to znowu czart kusił kłamliwemi słowy, wywołując przed oczy Danta różne zmysłowe obrazy. *Spowiedź Karsaka,* także obrazek poczęty pod tym samym wpływem natury i prostej, serdecznej piersi, kryjącej się pod siermięgą. Lud prosty, jak natura zjednały sobie serce poety: widać to jaśnie, że miłość ta nie czcze słowo tylko, ale czyn, krew, życie.— Myśl ta poważna coraz więcej zajmowała serce i duszę; szczęśliwy naprzód ojciec, potem osierocony, spłakany, zatęskniony, Syrokomla opuścił wieś i udał się do miasta. Tu w natłoku ludzi, w dusznych murach, w pośród gwaru, wspomnienia wsi, ludu, młodości przeżytej w pośród tych dwóch pierwiastków prostoty, więcej jeszcze nęciły do siebie myśl poety; w tej pracy ustawicznej nad Dziejami Literatury siły ciała słabły. Tęskniąc za lepszemi chwilami życia ubiegłego, dla rozrywki, poeta, aby sobie przypomnieć wiek, pisał poemat Margiera (wydrukowany w Lipsku) w ogrodzie; nieraz znużony pracą, kładł się wypoczywać na chłodnej, rosą zwilżonej trawie. Szóstego sierpnia 1854 ukończył Margiera, a 20 położył się, przykuty do łóżka wyrokiem lekarzy, skazany na djetę, zaniechanie pracy i stały pobyt w mieście. Od 1go września do połowy października, Syrokomla był mocno chory, trapiony niemocą piersiową, którą odziedziczył po którymś z rodziców swoich. Jednakże i w tym stanie nie próżnował chory nasz poeta; ostatni poemat jego *Kęs chleba* datowany jest w miesiącu listopadzie roku zeszłego.

***A. N.*** (G. W.)

*) Żartem to jest; p. W. Syrokomla ma piękny, czytelny charakter.

## Rozmaitość.

* Pani Rywacka w ostatnim koncercie swoim d. 6 maja odspiewanym objawiła nam swój talent, w całej swej prawdziwie uroczej rozciągłości. Co do objętości głosu sięga ona od niskiego A, aż do wysokiego C, a zatem obejmuje do pół trzecia oktawy; każde z tych odcieni umie ona oddać z zupełnem zaokrągleniem, z równą więc siłą, pełnością i dzwiękiem jest ona zdolna spiewać tak partją Sopranu, jakoteż i Altu. Jeżeli podziwiwialiśmy jej głos w C a s t a d i v a z N o r m y, w Lucrezia B o r g i a, lub w P r o r o k u, dziś powiedzieć możemy, że jej głos spiewny okazał się nam w całym uroku swoim w partyach M e z z o S o p r a n o. Wszystkie przechody od najwyższego do najniższego, wszelkie intonacye umie ona oddać z pewnością i spokojem; koloratury i tryle są u niej czyste i śliczne; każdy ton najmniejszy, *fortissmo* czy *pianissimo, crescendo* czy *decrescen-*

*do, staccato* czy *legato* odzywa się w jej głosie jakby ton czystego fletu. Jednem słowem, jak każdym razem, tak i w ostatnim koncercie swoim, przekonała nas pani Rywacka, że prócz szkoły którą posiada wybornie, włada głosem najzupełniej, i sztukę spiewu rozumie w całem tego słowa znaczeniu. Dodajmy do tego, że jak ostatnim koncertem swoim najmocniej nam dowiodła, spiew jej jest tak zarazem deklamacyjny, iż każde niemal słowo należytym afektem odznaczone zrozumieć można. W ogóle spiew jej jest pełen dramatyczności, co głównie odbija się w jej recytatywach wykonanych przez nią doskonale. Spiewki zaś polskie wykonała ona z mistrzowstwem trudnem do naśladowania; gdy je spiewa odbija się w nich typ prawdziwie narodowy, ta szczególnie harmonijna tęsknota słowiańska. Pani Rywacka jest niezaprzeczenie spiewaczką dramatyczną pierwszego rzędu, umiejąca zachować właściwy charakter każdemu spiewowi, czy ten lekkie przebiega tony salonowe, czyli zaś przechodzi w zapał uczucia, namiętności.

W rzeczonym koncercie odznaczył się także kwartet z 4 męskich głosów wykonany z nadzwyczajną precyzyją. Odegrane na fortepianie sztuki niemniejsze przyniosły zadowolenie pewną i silną grą, przynoszącą zaszczyt nauczycielce występującej dyletantki, panny Kaweckiej. Nauczycielką tą jest panna Letycya Wilczopolska, od lat kilku żajmująca się nauką muzyki na fortepianie za pomocą metody przez nią wynalezionej. Uczennica jej dowiodła trafności tej metody, pouczającej głównie dokładnego trzymania taktu, i nadzwyczaj biegłości i pewności w mechanizmie gry fortepianowej. Do przyjemności jaką nam sprawił ten koncert przyłożył się wreszcie p. Köhler swoim spiewem, w którym odzywa się coraz więcej kształcący się talent wyższy. Pani Aszperger nakoniec dodała do uroku tego wieczora swój talent deklamacyjny, tak dobrze nam znany, z którego na nieszczęście nie z jej winy pozbawieni jesteśmy na scenie polskiej.

Z szczerym żalem żegnamy panią Rywacką, odjeżdżającą w tych dniach ze Lwowa. Gdyby scena nasza w innym znajdowała się stanie, jakiżby był nabytek, gdyby panią R. można dłużej zatrzymać u nas. Pani Rywacka bowiem równie jak niepospolitą spiewaczką, jest i niepospolitą artystką dramatyczną, jakto z występów jej w operach przekonać by można było. A właśnie po odjeździe panny Radzyńskiej wydział ról, w których ta artystka występowała, jest zupełnie osierocony.

* Przedstawienia teatru niemieckiego są zawsze bardzo licznie odwiedzane. Osobliwie balet zwabia licznych widzów. W dawanej w Czwartek operze Ernani wystąpił po raz pierwszy w roli gościnnej pan Steger, spiewak opery nadwornej w Wiedniu. Tenorzysta ten przywłaszczył sobie metodę włoską spiewu. Głos jego najpełniejszy i najdzwięczniejszy jest w średnich tonach, w tonach wysokich jest bardzo silny, ale już tej przeźroczystej czystości, tego srebrnego niema dźwięku co w srednich. W ogóle jest to śpiewak niepospolity, lecz pragnęlibyśmy słyszeć go nie tylko w włoskich operach, ale i niemieckich lub Majerbeerowskich, aby módz o nim dać zdanie. Współgrający w Ernanim pan Köhler (król) swym przyjemnym spiewem jak i pani Biegel choć nie bardzo silnym lecz czystym i dźwięcznym głosem przyczynili się do dobrego oddania tej opery.

**Przyjechali** od dnia 4. do 6. Maja. do Lwowa.

PP. Dzieduszycki Jan hr. z Sichowa. Brunicki Jan bar. z Żółkwi. Brunicki Ludwik bar. z Gorajca. Lewartowski Franciszek bar z Wiszniowej. Obertyński Wacław z Gródka. Garapich Władysław z Cebrowa. Zagórski Karol z Kołomyi. Krzeczunowicz Ignacy z Jaryczowa. Wronowski Antoni z Jezuitki. Krajewski Nikazy z Turczy. Rozłucki Wiktor z Gołogór.

PP. Dzieduszycki Włodzimirz hr. z Przemyśia. Neusser Ernest z Krakowa. Ośmiałowski Szymon z Janczyna. Bolesław Augustynowicz z Kniazia. Borkowski Włodzimierz hr. z Lubieniec. Borkowski Seweryn hr. z Lubieniec. Radziejowski Eduard z Ditkowiec. Wierzchlejski Franciszek Kazimierz z Przemyśla. Padlewski Apolinary z Czabarówki. Guzkowski Marceli z Nowego-miasta. Gurkowski Kajetan z Nowego-miasta.

PP. Fabricius Pelagia ze Stanisławowa. Osterman Jerzy Benjamin ze Stanisławowa. Wiktor Stanisław z Wroblisk. Abancourt Ksawery ze Stryja Schubert Wojciech z Janowa. Krasicki Alexander z Dubiecka. Schanz jen. ze Złoczowa. Wierzchowski Felix ze Zaskowca. Żurowski Antoni z Nehrybki. Fredro Henryk hr. z Gródka. Brunicka Teresa z Podhorzec. Łoś Włodzimierz hr. z Dolżanki. Kozłowski Michał z Tarnopola. Czerniakowaki Adam z Tarnopola. Korzeniowski Alexander z Machnowa.

**Wyjechali** od dnia 4. do 6. Maja ze Lwowa:

PP. Lawinger bar. do Gródka. Schanz do Żółkwi. Komorowski Henryk hr. do Pawłowa. Stadnicki Julian hr. do Tarnopola. Jędrzejowski Dawid do Glińska. Niezabitowski Włodzimierz do Uherzec. Millig Karol bar. do Krakowa. Rausch Wilhelm do Krakowa. Malczewski Stanisław do Czernik. Abancourt Ksawery do Stryja. Arciszewski Teofil do Wolny. Dobrzański Stanisław do Daszowa. Skrzyński Michał do Bełzca. Uniatycki Józef do Jamelny. Cielski Ludwik do Łoziny. Wronowski Antoni do Jaśnisk. Terlecki Antoni do Łanowiec, Dobek Konstanty do Brzeżan.

PP. Nowiński Seweryn do Stryja. Zagórski Michał do Dzurowa. Jaźwiński Alexander do Bortnik. Gutwein Magdalena do Stryja. Drymet Michał do Stryja. Tatomir Marya do Stryja. Zych Jan do Stryja. Szadbej. Jakób do Stanisławowa. Cavriani hr. do Krakowa. Łoś August hr. do Winnik. Wolański Wacław do Podhajec. Ujejski Bronisław do Melny. Fredro Edward hr. do Żołkwi. Lanckoroński Teodor hr. do Poddubiec. Wysłobocki Henryk do Żółkwi.

PP. Stadnicki Felix hr. do Rogużna. Preuss Józef do Szkła. Seebald Karol do Kołomyi. Zadurowicz Grzegórz do Czerniowic. Golejowski Jan hr. do Hrynowiec. Starzyńska hr. do Olejowa. Olszewski Tyburcy do Bazaru. Brodier Alexander do Złoczowa. Robert do Złoczowa.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 7. b. m. o g. 2 popołud.**

| | | | |
|---|---|---|---|
| Augsburg za 100 złr. . | $127\frac{5}{8}$ | Pożyczka 5% $80\frac{1}{4}$ $4\frac{1}{2}$ | — |
| Hamburg za 100 tal. banco | $93\frac{5}{8}$ | Akcye banku . . . . | 986 |
| Londyn za 1 funt szterl., | 12 27 | Kolej północna . . . . | — |
| Medyolan za 300 lirów | $126\frac{1}{2}$ | Obl. ind. . . . . . . | $72\frac{5}{8}$ |
| Paryż za 300 franków . | $148\frac{1}{2}$ | Nowa pożyczka z loterya | $101\frac{3}{8}$ |
| Agio duk. ces. . . . | 31 | Pożyczka narodowa . . | $84\frac{1}{2}$ |

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówka towarem.

| | Gotówka | | | | towarem | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Dukat holenderski . . . . . . . . | złr. | 5 | kr. | 50 | złr. | 5 | kr. | 54 |
| Dukat cesarski . . . . . . . . . | « | 5 | » | 54 | » | 5 | « | 58 |
| Półimperyał zł. rosyjski . . . . . . | « | 10 | « | 10 | » | 10 | « | 12 |
| Rubel srebrny rosyjski . . . . . . | » | 1 | « | 58 | « | 1 | » | 59 |
| Talar pruski . . . . . . . . . | » | 1 | « | 54 | » | 1 | « | 56 |
| Polski kurant i pięciozłotówka . . . . | » | 1 | « | 25 | » | 1 | « | 26 |
| Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu | » | 92 | « | 40 | » | 93 | « | 20 |
| Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu | | 72 | » | 30 | » | 73 | » | — |
| 5 proc. pożyczka narodowa . . . . . . . | | 83 | » | 30 | » | 84 | « | 30 |

Do dzisiejszego numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

# Nowości literackie

**Bujnicki Kaz.** Stara Panna. Powieść współczesna Wilno 1855 3 zł.

**D' Exauvillex M. B.** Krótki rys występnego życia i nieszczęśliwej śmierci bezbożników. Z trzeciego wyd. przetłumaczył X. S. S. D. Wilno 1854. 42 kr.

**Eötvös Józ. Baron.** Notaryusz. Powieść przełożona na język polski przez J. D. 4 tomy. Warszawa 1855. 6 zł.

**Garbułek na dożynkach**, czyli wesoły wieczór z tańcami i sztukami. Humorystyka w dwóch częściach. Wilno 1855. 2 zł.

**Kaczkowski Zygm.** Bracia ślubni. Powieść z czasów Augustowskich. 3 tomy Petersburg 1854. 9 zł.

**Kaczkowski Zygm.** Mąż szalony. Powieść. 2 tomy Petersb. 1855 5 zł.

**Korzeniowski Józ.** Pan Stolnikowicz Wołyński. Powieść 2 tomy. Petersburg 1855. 4 zł.

**Kraszewski J. I.** Diabeł. Powieść z czasów Stanisława Augusta. 4 tomy Wilno 1855. 6 zł. 36. kr.

**Paska Jana Chrysost**, Reszty rękopismu, z egzemplarza w Ces. publ. bibliot. w Petersburgu spisane i wydane przez Stan. Aug. Lachowicza z 6 rycinami Wilno. 1854 7 zł.

**Regnault X.** Nauki rozdzielone na każdy dzień dwunastu tygodni od starozapustnej, aż do trzeciej niedzieli po wielkiej nocy dla przygotowaniu dzieci do pierwszej komunii świętej z francuskiego języka przetłumaczył X. S. S. D. Wilno 1854 1 zł. 12 kr.

**Strutyński Jul.** Hr. Miscellanea. Wilno 1855 2 zł.

**Tripplin Dr. A.** Pamiętniki lekarza Polaka z wypadków za granicą doznanych. 6 tomów Warszawa 1855 15 zł.

**Wieniarski Ant.** Nasze strony i nasi ludzie. Zbiór powieści historycznych, obrazków tegoczesnych, wspomnień i życiorysów, 3 tomy Warszawa 1855 5 zł. 24 kr.

**Stephens Henry**, Buch der Land- und Hauswirthschaft. Aus dem Englischen übersetzt von Eduard Schmidlin. 2 Bde, mit vielen Tafeln und gegen 500 Holzschnitten, Stuttgart 1855 12 zł.

---